

Podobno najdłuższe zarejestrowane echo rozbrzmiewało siedemdziesiąt pięć sekund, ale zapewniam cię, że tym razem potrwa o wiele dłużej. Ogłuszający huk stłumił wszystkie dźwięki i pogrzył otaczający mnie świat w ciszy, pozwalając, by echo zniszczeń przetrwało znacznie dłużej niż było to zamierzone.

To echo będzie podążać za mną wszędzie, niszcząc mnie... i niszcząc ciebie.

Chcesz odpowiedzi?

Ja też.

Seria
Czarny Lotos
Tytuł oryginału
Echo
Copyright © 2014 by E.K. Blair
All rights reserved
Wydawnictwo NieZwykłe
Oświęcim 2018
Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:
Barbara Marszałek
Korekta:
Anna Kędra
Redakcja techniczna:
Mateusz Bartel
Przygotowanie okładki:
Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Dystrybucja: ATENEUM www.ateneum.net.pl

Numer ISBN: 978-83-7889-752-1

E.K. BLAIR

ECHO

TOM DRUGI SERII „CZARNY LOTOS”

**TŁUMACZENIE:
MARTA SŁOŃSKA**

OŚWIĘCIM 2018

Dla moich fanów

„Jeśli jestem wytworem twojej wyobraźni,
to musisz być na wpół obłąkana”.
Lewis Carroll



Prolog

(Bennett)

Nie zwlekałem ani sekundy po tym, jak dowiedziałem się, kim naprawdę jest Nina. Elizabeth. Moja żona. Jezu, co tu się wyprawia? Kiedy godzinę temu poznałem prawdę, byłem przerażony i zupełnie skołowany; myślałem tylko o tym, żeby jak najszybciej znaleźć się w biurze mojego prawnika. Nie wiem, co knuje Nina. Cholera, nic już nie wiem. Nie zdążyłem jeszcze nawet zajrzeć do akt, bo musiałem najpierw zadbać o to, żeby jedyna osoba – oprócz Niny – na której naprawdę mi zależy, miała zapewniony byt bez względu na to, co się wydarzy. Kiedy docieram z powrotem do The Legacy, w głowie kręci mi się od natłoku myśli.

Wjeżdżam do garażu, parkuję na swoim miejscu i chwytając teczkę pośpiesznie wysiadam z samochodu. Przechodząc przez drzwi, przeczesuję włosy palcami. Czuję się, jakbym miał w piersi tysiąc uderzających rytmicznie młotków.

– Panie Vanderwal!

O mało co nie potykam się, wytrącony z rytmu przez głos Manuela, wołającego mnie z drugiego końca lobby.

– Panie Vanderwal – powtarza, wstając zza biurka. – Mam coś dla pana.

Czuję, jak krew marznie mi w żyłach, gdy bierze do ręki niedużą kopertę i rusza w moją stronę.

– Od kogo to?

– Od kobiety, która przedstawiła się jako pani Brooks. Mówiła, że to pilne. Bardzo nalegała, żeby pan od razu otworzył. – Wyciąga rękę, a ja biorę od niego kopertę.

– Dzięki. – Kiwam szybko głową i ruszam do windy. Rozpoznaję pismo Jacqueline na kopercie i zastanawiam się, dlaczego po prostu nie zadzwoniła. Kiedy drzwi otwierają się, wychodzę do penthouse’u. Wypełnia mnie panika i paląca potrzeba zrozumienia, co się tutaj dzieje.

Zdejmuję płaszcz, po czym ruszam do gabinetu i zamykam za sobą drzwi. Siadając za biurkiem, bezzwłocznie otwieram teczkę; pierwsze, co znajduję to kilka zdjęć Niny wychodzącej z jakiegoś budynku mieszkalnego – prawdopodobnie tego, gdzie mieści się apartament McKinnona. Przewraca mi się w żołądku na myśl, co z nim robiła przez cały ten czas, kiedy ja załatwiałem interesy w Dubaju.

Zacząłem coś podejrzewać na balu maskowym. Czułem, że z Niną było coś nie tak. W jej oczach wyraźnie widać było targające nią emocje, ale dobrze to ukrywała i postanowiłem o nic nie pytać. Potem musiałem wyjeżdżać częściej i na dłużej, więc zaczęła mi doskwierać samotność i pomyślałem, że może ona czuje się podobnie. Pewnego razu zamówiłem dla niej jej ulubione danie z Cité, po czym dowiedziałem się od kierownika restauracji, że jedzenia nie udało się dostarczyć, ponieważ nikogo nie było w domu. Zadzwoniłem do Richarda, który powiedział mi, że według Jacqueline Nina ostatnimi czasy wychodzi gdzieś częściej niż zwykle. To wszystko wzbudziło moją czujność, dlatego – przyznaję – kazałem ją śledzić. Nie czułem się z tym dobrze, ale myśl, że mógłbym ją stracić, była nie do zniesienia. Musiałem znać prawdę, a teraz, kiedy wiem, że chodziło o Declana, mam ochotę zabić tego sukinsyna.

Więcej zdjęć Niny, tym razem z *nim*. On trzyma ją za rękę. Ona uśmiecha się do niego. Jego dłoń w jej rudych włosach. Jej ręce obejmujące go w pasie. Przytulają się. Całują. Jego dłoń na jej tyłku. Jej dłoń na jego twarzy. Ich ciała, jedno obok drugiego, splecione w uścisku na środku ruchliwej miejskiej ulicy.

Niech to szlag!

To moja cholerna żona! Kobieta, którą kocham nad życie. Co ona wyprawia, do diabła? A potem przewracam stronę i przypominam sobie, że ona wcale nie jest Niną, kiedy widzę kolejne jej zdjęcie. Jest na nim młoda – naprawdę młoda. To zeskanowana kartka ze szkolnego rocznika, na której znajduje się jej fotografia, a poniżej wydrukowane jest nazwisko:

Elizabeth Archer.

Atramentem dopisano notkę:

Pierwsza klasa.

Liceum Bremen. Posen, Illinois.

Jezu. Jak ona wylądowała w Posen?

Nie odrywam wzroku od niewyraźnej, czarno-białej fotografii. Dziewczyna nie uśmiecha się, ale jest piękna. Rozpoznaję w niej kobietę, z którą się ożeniłem, a gdy zamykam oczy, pod powiekami widzę ją – Elizabeth.

Ogarnia mnie poczucie winy.

Odkładam teczkę i odchylam się na krzesło, próbując odzyskać kontakt z rzeczywistością, ale nic z tego. Targają mną sprzeczne uczucia i nie potrafię jasno myśleć. Moja żona nie jest kobietą, za którą ją miałem. Przez cały ten czas udawała. Dlaczego? Czego ona chce? Powinienem jej nienawidzić, być wściekły, ogarnięty gniewem, a tymczasem mam ochotę pojechać z powrotem do szpitala, dotknąć jej, spojrzeć jej w twarz, wziąć ją w objęcia i zapytać, o co cho-

dzi, a potem zapewnić, że cokolwiek by to nie było, ja to naprawię, bo ją kocham.

Boże, jak ja ją kocham.

Co jest ze mną, do licha? Powinienem być wściekły, prawda?

Opuszczam na chwilę powieki, czując, że zaczyna mnie boleć głowa. Luzując krawat otwieram oczy, a mój wzrok pada na kopertę. Zaciekawiony, zaglądam do środka, gdzie znajdują pendrive'a i liścik:

Bennett,

Nie chcę pisać zbyt wiele, ale ostatniej nocy podstuchiłam przypadkiem, jak Richard rozmawiał przez telefon. Zaniepokoiłam się, bo mówił dziwne rzeczy. Wiedziałam, że ma to jakiś związek z firmą, więc chciałam do ciebie zadzwonić, ale potem znalazłam tego pendrive'a i się przestraszyłam. Nie do końca rozumiem, co się dzieje, ale boję się, że to coś bardzo złego. Proszę, spójrz na to jak najszybciej.

Jacqueline

Otwieram laptop, wkładam pendrive'a do gniazda USB i klikam na plik, który pojawia się na ekranie. Wygląda na arkusz finansowy mojej firmy, ale kwoty bardzo odbiegają od normy. Czytam dalej, przewijając tekst, a gdy docieram do końca, widzę nazwę konta i czuję, jak budzi się we mnie panika.

– O mój Boże.

Z szeroko otwartymi oczami nachyliłam się nad ekranem, nie wierząc w to, co widzę. Żołądek podchodzi mi do gardła, gdy docierają do mnie stłumione dźwięki dobiegające z korytarza. Zanim mam czas się zastanowić, drzwi otwierają się, z hukiem uderzając o ścianę.

Twarz mężczyzny rozmywa mi się w oczach wraz z lufą wymierzonego we mnie pistoletu. Przeszywa mnie zimny dreszcz, a strach zapiera dech w piersi, gdy rozpaczliwie usiłuję wydobyć z siebie głos, ale to on odzywa się pierwszy.

– Już nigdy więcej jej nie dotkniesz – warczy, zbliżając się z ramieniem wciąż wyciągniętym przed siebie, i mierząc do mnie z broni.

Mimo że nogi mam jak z waty, szybko wstaję, unosząc ręce w geście poddania, i błagam łamiącym się z przerażenia głosem:

– Declan, nie rób te...

(bang)



Rozdział pierwszy

(bang)

Gdy stoi przede mną z szeroko otwartymi oczami, szkarłat przesącza się przez białą, bawełnianą tkaninę; śmierć rozlewa się na jego koszulce. Cała sztywnieję, patrząc jak chwije się powoli, po czym upada na plecy. Pistolet ciąży mi coraz bardziej, tak że moje wątle palce nie są dłużej w stanie go utrzymać; wyslizguje mi się z ręki i z głuchym dźwiękiem spada na podłogę w tej samej chwili, co Pike.

Stoję jak wmurowana, spoglądając na brata. Jego ciałem wstrząsają drgawki, oczy wpatrują się nieruchomo w górę, a z gardła dobiega coraz głośniejszy bulgot, gdy zaczyna dławić się własną krwią.

Nie próbuję mu pomóc; stoję tylko zeszywniała, jakbym oglądała film grozy.

To się nie dzieje naprawdę. To tylko sen.

Przerażenie w jego spojrzeniu przygasa, źrenice rozszerzają się, a oczy zachodzą mgłą. Są nieobecne i wpatrzone w nicość.

Jego sparaliżowane ciało nieruchomieje na podłodze i pomieszczenie wypełnia cisza. W tym momencie zaczynam czuć ciepło krwi płynącej w moich żyłach i w końcu ruszam się z miejsca. Zbliżając się powoli do Pike'a, z drżeniem klękam przy nim, ale boję się go dotknąć.

Czy to jednak prawda?

Zauważam, jak sinieją mu wargi. Siadam. Świat zatrzymuje się, a mój umysł odpływa w odległe miejsce, gdzie nie ma niczego; jest czyste i puste, wyprane z wszelkich emocji. Znajduję schronienie w tej pustej przestrzeni, gdy nagle ciało obok mnie dygocze konwulsyjnie. Z ust Pike'a tryskają wymioty zmieszane z zaschłą krwią, gdy jego żołądkiem wstrząsają rytmiczne skurcze, które nagle ustają. Z bijącym nieregularnie sercem patrzę na ciało Pike'a rozciągnięte bezwładnie na podłodze, a gdy uchodzą z niego resztki życia, gwałtownie budzę się z transu, jakby rzeczywistość uderzyła mnie ciężkim obuchem.

O cholera!

Zaczynam w panice szarpać go za ramię.

– Pike? – mamroczę ze strachem, potrząsając nim. – Pike, obudź się. No już. – Pochyliam się nad jego pozbawionym życia ciałem, zaciskając mu dłonie na ramionach i potrząsam mocniej, błagając coraz głośniej:

– Obudź się. Obudź się! To nie jest śmieszne. – Łzy pieką mnie w oczy i dławię się swoimi słowami. – Obudź się, Pike! Przepraszam. O mój Boże, tak bardzo cię przepraszam. Proszę, obudź się!

Jego oczy są wciąż szeroko otwarte, ale nieruchome. Zastygły i zostały pozbawione życia.

Co ja zrobiłam?

Ból przeszywa mi płuca, gdy unoszę głowę ku niebiosom, by wyrzucić z siebie okropny, rozdzierający krzyk – ale z moich ust nie wydobywa się żaden dźwięk. Udręka jest tak ogromna, że zapiera mi dech w piersiach, pozwalając tylko na bezgłośny, przepelniony bólem szloch. Moje serce, roztrzaskane na kawałki i podarte na strzępy, ukazuje mi nowe oblicze cierpienia; uczucie, jakie nigdy dotąd

nie istniało, nieznośne i przytłaczające. Czuję, jak rodzi się we mnie, i nie mogę tego dłużej znieść.

Kiedy z powrotem opuszczam wzrok, nie widzę już mężczyzny, którego chwilę temu nienawidziłam; zamiast tego leży przede mną chłopak, który przez całe życie rozpaczliwie mnie kochał. Zwijam się w kłębek, przesuwając jego ramię tak, aby móc przytulić się do jego piersi. Wciąż jest ciepły, a ja samolubnie próbuję dodać sobie otuchy jego bliskością, tak jak to robiłam przez całe moje życie. Jestem zepsuta do cna – nawet po śmierci wykorzystuję Pike’a, aby ulżyć sobie w cierpieniu. Obejmuję go i płaczę, z każdym oddechem chłonąc jego zapach i czyniąc go częścią mojej duszy. Jego koszulka jest przesiąknięta krwią i potem, a jednak kiedy zamykam oczy, czuję znajomą woń dymu goździkowych papierosów.

– *Wszystko będzie dobrze.*

Wystraszona jego szeptem, podrywam się, aby na niego spojrzeć. Jest żywy, mruga oczami, a gdy znów się odzywa, widzę, jak poruszają się jego usta.

– *Nie płacz, Elizabeth. Wciąż tu jestem.*

– O mój Boże, Pike! – mamroczę, nie wierząc własnym oczom.

– *Będzie dobrze* – zapewnia znowu, a ja odpowiadam z płaczem:

– Jakim cudem?

– *Dlatego, że cię kocham i wierzę w ciebie. Jesteś wojowniczką. Potrafisz walczyć o swoje.*

– Tak mi przykro. Nie zamierzałam do ciebie strzelić. Boże, wszystko wymyka mi się spod kontroli, ale nie mogę cię stracić.

Na jego wargach pojawia się cień uśmiechu.

– *Nigdy mnie nie stracisz. Jesteś moją siostrą. Nigdy nikogo nie kochałem tak, jak ciebie. Jedyne, czego kiedykolwiek pragnąłem, to żebyś była szczęśliwa. Ty zawsze dasz sobie radę.*

– Co mam robić?

– *Uciekać.*

– Co? – Potrząsam lekko głową, a gdy znów patrzę mu w oczy, napotykam wzrokiem dwie zimne, czarne sfery. – Pike? – Zaciskam powieki i z powrotem je rozchylam, ale obraz się nie zmienia. Mój brat nie żyje, a ja świruję.

Docierają do mnie jego słowa. Ma rację. Potrafię walczyć; on mnie tego nauczył. Z tą myślą prostuję plecy i biorę kilka głębokich oddechów. Pochylam się i dotykam wargami jego ust, przyjmując drugi już dzisiaj pocałunek śmierci. Przykładam opuszki palców do jego brwi i delikatnie przesuwam je w dół twarzy, zamykając mu oczy, aby mógł spać w spokoju. Straciłam dzisiaj dwa kawałki mojego czarnego jak noc serca, ale teraz nie mam innego wyboru, jak tylko ratować siebie.

Krażąc szybko po przyczepie, zdejmuję z siebie zakrwawione ubrania i zakładam ciuchy Pike'a – parę spodni od piżamy i stary t-shirt. Chcę czuć na sobie jego zapach, bo boję się zostać sama. Zbieram swoje rzeczy i wkładam do torby papiery, które Pike zabrał od Declana, po czym ścieram odciski palców. Spoglądając na brata leżącego w kałuży krwi, wypowiadam cicho słowa pożegnania i dziękuję, że uratował mnie, oddając mi siebie. Moje ciało z całej siły opiera się fali palącego bólu, gotowego lada chwila wybuchnąć; odpycham od siebie myśl, że to ja powinnam leżeć martwa na podłodze. Wtedy przynajmniej byłabym z Declanem.

Declan.

Kurwa, nie dam rady. Nie mam dość siły.

Oddycham ciężko, z coraz większym trudem broniąc się przed zalewem emocji. Zamykam drzwi, zostawiając za nimi przeszłość, i z pistoletem Bennetta w torbie wkraczam w nieznaną przyszłość.

Kiedy wyjeżdżam z pola parkingowego na główną ulicę, policzki mam mokre od łez.

Jestem zagubiona.

I całkiem sama.

Jedyne, co mogę zrobić, to wrócić do mojego fałszywego życia, bo jaki mam inny wybór? Trzej mężczyźni – wszyscy powiązani ze mną – zostali zamordowani. Bennett, Declan i Pike. Próbuje się skupić i ułożyć plan działania, ale nagle żołądek skręca mi się ze strachu na widok samochodu Matta, który mija mnie, zmierzając w kierunku, z którego przyjechałam.

Cholera!

Mogłabym zawrócić, dogonić go, wyjaśnić, co się stało; ale wtedy słyszę głos Pike'a, mówiący z naciskiem:

– Nie zatrzymuj się.

Jadę więc dalej.

Cienie miasta mijają mnie, aż docieram z powrotem do domu i wjeżdżam na parking podziemny.

Wycieram pistolet i odkładam na miejsce w samochodzie Bennetta – wszystko jest tak jak przedtem, brakuje tylko jednego naboju – po czym wchodzę pośpiesznie do pogrążonego w ciszy budynku i niezauważona docieram do penthouse'u.

Po cichu przekraczam próg, a gdy tylko zamykam za sobą drzwi, upadam na podłogę i zaczynam zanosić się płaczem. Tym razem głos mnie nie zawodzi i wybucham płomiennym szlochem, spalającym moją duszę. Prymitywny wrzask przedziera się przez moje gardło, wypełniając powietrze rozpaczą, i odbijając się echem od ścian. Łzy

zmieszane z zaschniętą krwią Pike'a i Declana ściekają mi po brodzie i kapią na podłogę. Widząc przejrzyste, czerwone plamy, krztuszę się i nie mogę wydobyć z siebie głosu, zatracona w bólu, który łączy się z tym, co zostało mi po ukochanych mężczyznach.

Którego z nich brakuje mi bardziej?

A wtedy, jak przystało na zwierzę, którym jestem, oparta rękami na zimnej podłodze pochylam się na kolanach i liżę.

Sól z moich łez.

Metaliczny posmak ich krwi.

Eliksir dla mojego serca.

Zrzucam z siebie ubrania Pike'a, po czym idę do łazienki, gdzie wpatruję się w krew, która zaschła na moim ciele i, nie panując nad sobą, zaczynam ją również zlizywać.

Palce, dłonie, ramiona, kolana.

Nie pozostawiam ani odrobiny. Zapraszam Declana i Pike'a, by zamieszkali głęboko wewnątrz mojego ciała. Nie myślę jasno i mam tylko jeden cel – wchłonąć ich energię życiową do ostatniej kropli.

Płaczę.

Pieką mnie oczy.

Palą mnie płuca.

Moja nadzieja obraca się w proch.

Został po mnie tylko popiół, więc wstrzymajcie oddech, bo powiew wiatru może porwać mnie i unieść w nicość.

– Nina.

Budzę się, czując ból napiętych mięśni. Gdy obracam się na bok i otwieram załzawione oczy, widzę, jak po pokoju krząta się Clara – nasza kucharka i gosposia.

– Już prawie południe. Przespałaś cały ranek – mówi łagodnie, po czym rozsuwa zasłony.

Błysk światła razi mnie w oczy, więc odsuwam głowę, spod zmrużonych powiek spoglądając na pokój zalany promieniami słońca.

Clara okrąża łóżko i siada obok mnie, delikatnie przeczesując palcami moje splecione włosy. Jej dotyk na nowo otwiera jątrzącą się ranę w moim sercu, którą ukoić może tylko sen. Zamykam zmęczone oczy, a płynące z nich łzy wsiąkają w poduszkę.

– Powinnaś coś zjeść, skarbie. Może poczułabyś się lepiej.

Kręcę głową. Jedzenie mi nie pomoże. Nie wiem, czy cokolwiek może mi pomóc. Straciłam wszystko, co było mi drogie: dziecko, Declana, Pike’a... I co mi z tego przyszło? Wszyscy nie żyją, a ja nic nie osiągnęłam poza cierpieniem. Ucisk w sercu czyni każdy oddech nieznośnym i rozpaczliwie pragnę uciec od tego wszystkiego, a jeszcze bardziej chcę, żeby Declan mnie przytulił i przycisnął mocno do piersi, dając mi oparcie i wypełniając moje płuca swoim zapachem, swoim życiem.

Jedyny mężczyzna, który pokazał mi, jak to jest być kochaną... kochaną szczerze, najczystsza możliwą miłością... odszedł. Zginął z ręki mojego brata – mojej drugiej wielkiej miłości, mojego obrońcy.

– Może weźmiesz prysznic? – sugeruje Clara, ale ja nie odpowiadam ani nie otwieram oczu.

Zaledwie chwilę później słyszę, jak pociąga nosem. Kiedy uchylam lekko powieki, widzę, jak ociera łzy z policzków. Zmieniam pozycję, czując ból siniaków pozostałych po brutalnym pobiciu przez Pike’a kilka dni temu – pobiciu, które zabiło moje dziecko i spowodowało śmierć na

mojego męża, kochanka, brata oraz na moją własną duszę. Clara spogląda na mnie, gdy siadam, krzywiąc się.

– Przepraszam. Nie chciałam się rozplakać.

Nic nie mówiąc patrzę, jak stara się zapanować nad smutkiem i odzyskać równowagę. Ja też jestem nieszczęśliwa, ale z zupełnie innych powodów, więc wchodzę z powrotem w swoją rolę, mówiąc:

– Bez niego czuję się taka samotna. Cały czas wydaje mi się, że wyjechał tylko w kolejną podróż i lada chwila stanie w drzwiach.

Łzy wciąż płyną jej z oczu, gdy kiwa głową i spogląda na mnie.

– Martwię się o ciebie.

Ja też.

– Nic mi nie będzie.

– Bennett nie chciałby, żebyś tak cierpiała.

Ona nie wie jednak – nikt o tym nie wie – że moje cierpienie nie ma żadnego związku z Bennettem. Nie jestem udęczoną wdową opłakującą śmierć męża, o nie. Ja opłakuję mężczyznę, z którym tego męża zdradzałam, oraz brata, o którym nikt nic nie wiedział. To moje drugie, sekretne życie.

– Jak mogłabym nie cierpieć, Claro? Był moim mężem. – Z trudem wyduszam z siebie słowa. – Jak mam żyć bez niego, kiedy to dla niego wstawałam co rano z łóżka?

– Świat nie będzie na nas czekał. On wciąż gna do przodu i oczekuje, że dotrzymamy mu kroku.

– Nie jestem w tej chwili pewna, jak mam ruszyć się z miejsca.

– No cóż – zaczyna Clara, kładąc mi dłoń na kolanie. – Na dobry początek możesz wziąć prysznic i spróbować coś zjeść. – Spojrzenie jej oczu jest smutne i zatroskane. Kiedy

odpowiadam skinieniem, na jej usta wypływa nieznaczny uśmiech. Ściska lekko moje kolano, po czym wstaje, żeby wyjść z pokoju. Odwraca się jeszcze, dodając: – Kiedy spałaś, dzwonił twój prawnik. Chciałby się umówić na spotkanie w sprawie testamentu Bennetta.

Oto chwila, o której Pike i ja marzyliśmy, zwieńczenie moich wieloletnich wysiłków. To miał być mój triumf i przepustka do szczęśliwego życia. Pieniądze. Władza. Zemsta i zapłata za krzywdy. Teraz, kiedy nie ma przy mnie Pike'a, nic to dla mnie nie znaczy. Wysłałam za Bennetta, aby go zniszczyć, ale to niczego nie naprawiło – jest tylko gorzej.

– Zadzwoń do niego po lunchu – odpowiadam, zanim Clara wychodzi i zamyka za sobą drzwi.

Myję się i ubieram, niemal nie myśląc o tym, co robię. Wykonuję ruchy, ale już po chwili nie mogę sobie przypomnieć, jak dotarłam od punktu A do punktu B. Clara jest w kuchni, sprząta po lunchu, a ja przeglądam liczne powiadomienia o nieodebranych połączeniach, które dostałam od czasu śmierci Bennetta. Na pewno mówią o nim w Wiadomościach, ale nie mogę się zdobyć na to, żeby włączyć telewizor, bo boję się, że usłyszę coś o Declanie, a tego bym nie zniosła.

Mam wiadomości od wszystkich. Wiem, że muszę się skontaktować z rodzicami Bennetta, a także z Jacqueline, bo widzę, że ciągle do mnie wydzwaniała. O Boże, ostatnie, czego teraz chcę, to rozmawiać z tymi ludźmi. Mam już wyjść z pokoju, kiedy dzwoni telefon. Pozwalam, by Clara odebrała, a sama ruszam z powrotem do łóżka.

– Nina, to dom pogrzebowy – woła. – Muszą potwierdzić kilka ostatnich szczegółów.

Kompletnie wyczuła z energii, odpowiadam:

– Przepraszam. Nie dam rady. – Spuszczam głowę i wychodzę.

Co mnie do cholery obchodzi pogrzeb Bennetta? Jak dla mnie mogą go nawet wrzucić do jeziora. Sukinsyn nawet po śmierci wciąż wszystko psuje. Cierpienie dławi mnie w gardle, gdy padam na łóżko i zaczynam płakać w poduszkę.

Tak cholernie go nienawidzę za wszystko, czym był. Nieważne, czy moje uczucia są usprawiedliwione, czy nie; ten dupek odebrał mi wszystko.

Płaczę, próbując choć trochę ulżyć sobie w cierpieniu, ale nie mogę usiedzieć w miejscu. Zrywam się z łóżka i jak zamroczona docieram do garderoby Bennetta. W amoku zrywam ubrania z wieszaków i rozrzucam buty po pokoju, stękając z każdym kolejnym wybuchem agresji, aż docieram do ściany i zaczynam uderzać w nią ręką. Błagam o ból, ale wciąż boli mnie tylko serce, więc zaciskam dłoń w pięść i walę mocniej, i mocniej, i mocniej, i mocniej...

– Nina! Przestań!

Mocniej, i mocniej, i mocniej, i mocniej, i...



Rozdział drugi

– Dziękuję, że pani przyszła, pani Vanderwal. Proszę przyjąć wyrazy współczucia. Pani mąż był moim dobrym przyjacielem.

– Dziękuję, Rick. – Stojąc przed biurkiem naszego prawnika, wymieniam z nim uścisk dłoni.

– Proszę. – Wskazuje mi krzesło. – Niech pani spocznie.

Patrzę, jak człowiek, którego znam, odkąd cztery lata temu zaręczyłam się z Bennettem, siada i wyjmuje plik dokumentów.

– Chciałem spotkać się z panią w cztery oczy, żeby omówić kwestie związane z testamentem i majątkiem pani męża. Wiem, że przeżywa pani trudne chwile, ale... w dniu swojej śmierci Bennett mnie odwiedził.

Kiwam głową, przypominając sobie rozmowę telefoniczną, którą odbył w szpitalnej sali. Wtedy był przy mnie po raz ostatni; wtedy też dowiedział się, że wcale nie nazywam się Nina, tylko Elizabeth, i że potajemnie spotykałam się z Declanem.

Declan.

Na myśl o nim ściska mnie w gardle, ale odpycham od siebie to uczucie, skupiając uwagę na Ricku, który w dalszym ciągu do mnie mówi.

– Wprowadził kilka poprawek do testamentu – informuje, wyciągając z folderu białą, zaklejoną kopertę. – Polecił mi, żebym po jego śmierci otworzył to i przeczytał pani na osobności.

Wyciskając z oka łzę, siedzę i wpatruję się w niego. Jestem podenerwowana, ale na ile mogę, staram się zachować pozory spokoju.

– Musiał wiedzieć – stwierdza prawnik bezzamiętnie.

– Nic z tego nie rozumiem. – Kiedy wypowiadam te słowa, mój głos drży lekko i Rick podaje mi chusteczkę.

– Czy policja coś mówiła?

– Nie, ale zabrali prawie wszystko z gabinetu w naszym mieszkaniu. O ile wiem, przypuszczają, że ma to jakiś związek z interesami.

– Ludzie potrafią robić straszne rzeczy dla pieniędzy – odpowiada, a ja czuję pod skórą złowieszcze ukłucia chłodu.

Rick nie ma pojęcia, jak bliskie prawdy są jego słowa, teraz, gdy siedzę tu w oczekiwaniu na nagrodę w grze zemsty, którą rozgrywałam przez kilka ostatnich lat.

Ocieram oczy chusteczką, a on pyta:

– Potrzebuje pani chwili dla siebie?

Kręcę głową, a prawnik sięga po nożyk do papieru i rozcina kopertę, z której wyjmuje kartkę papieru. Przez chwilę patrzę, jak jego oczy prześlizgują się po tekście. Rick odchrząkuje i poprawia się na krześle, po czym odczytuje na głos słowa Bennetta.

Moja piękna Nino,

Czuję się wewnętrznie rozdarty, pisząc ten list. Kiedy cię spotkałem, zdałem sobie sprawę, jakim człowiekiem chcę być – takim, który byłby godzien stać u twego boku, bo jesteś absolutnie cudowna.

Problem w tym, że nigdy nie byłaś kobietą, za którą cię uważałem. Jestem na Ciebie wściekły. Wiem, kto kryje się za twoją maską – maską, którą z całego serca pokochałem. Nie będę udawał, że wiem, jak odpowiedzieć na to, co zrobiłaś, ale nie martw się, moja droga; nikomu nie powiedziałem. Wspomnienie mojej przyjaciół-

ki, tej małej dziewczynki z rudymi warkoczykami, zabiorę ze sobą do grobu. Mam nadzieję, że znalazłaś to, czego ode mnie chciałaś, cokolwiek to było, i że zdołasz mi wybaczyć to, co się stało. Nie znam szczegółów, ale i tak czuję się odpowiedzialny.

Ale nie tylko Ty byłaś nieszczerą. Ja też Cię okłamywałem. Nie widzę łatwego sposobu, żeby to powiedzieć, więc napiszę wprost:

Mam syna.

Nazywa się Alexander Brooks.

Wzdrygam się, wstrząśnięta tym, co słyszę i zdegustowana, że nie zauważyłam tego, co się działo. Pieprzył się z Jacqueline za moimi plecami. Mój kochający mąż i moja tak zwana przyjaciółka.

To był największy błąd w moim życiu. Zrobiłem to tylko raz; szczegóły nie są istotne, bo żałowałem od chwili, gdy to się wydarzyło. Zawsze pragnąłem Ciebie i tylko Ciebie. Dotknąłem jej ten jeden jedyny raz i nigdy więcej nie miałem ochoty tego powtórzyć, bo jedyne, czego chciałem, to leżeć w twoich objęciach i czuć Twoją miłość. Sądziłem, że ta miłość była prawdziwa, ale dowiedziałem się dzisiaj, że wcale nie. Nic nie jest prawdą i nie wiem już, w co mam wierzyć.

Wiem tylko tyle, że nie mogę Ci ufać. Poleciłem, aby ten list został Ci odczytany w odosobnieniu. Niniejszym oświadczam, że jestem ojcem Alexandra Brooksa. Wkrótce po jego narodzinach został przeprowadzony test DNA, a wynik znajduje się w sejfie, który pozostawiam pod pieczęcią wspomnianego doradcy, mecenasa Ricka Parkera z firmy Buchanan & Parker. Wprowadzam również poprawkę w testamencie, aby zagwarantować, że w przypadku mojej śmierci Alexander Brooks w całości odziedziczy majątek przedsiębiorstwa Linq Steel Co., a Nina Vanderwal odziedziczy cały mój majątek osobisty.

Wszelkie środki pieniężne pochodzące z Linq Steel Co., wliczając w to wartość nieruchomości, wpłacone zostaną na fundusz powierniczy założony w imieniu Alexandra, którym zarządzać będzie Rick Parker do momentu ukończenia przez Alexandra dwudziestu jeden lat.

Rick Parker zawiadomi Jacqueline Brooks i na osobności omówi z nią warunki nowej wersji testamentu. Przez wzgląd na mojego syna błagam cię, aby żadne z tych informacji nie zostały ujawnione osobom trzecim.

Sklamiałem jeszcze w jednej sprawie, Nino. Kiedy przed ołtarzem przysięgałem, że będę cię kochał, dopóki śmierć nas nie rozłączy, nie mówiłem szczerze – tak naprawdę, to wątpię, by nawet śmierć zdołała położyć kres mojej miłości do Ciebie.

Bennett Vanderwal

A to sukinsyn. Zdawało mi się, że to ja jestem dobrą aktorką, a tymczasem to *oni* z łatwością wystrychnęli mnie na dudka. Są takimi samymi oszustami, jak ja. Zawsze wiedziałam, że Jacqueline chciała przelecieć mojego męża, ale nie miałam pojęcia, że faktycznie to zrobiła. Siedzę, nie okazując emocji, chociaż mam ochotę roześmiać się na myśl, jak historia zatoczyła koło – gra wciąż trwa i odsłaniane są kolejne sekrety, tylko że tym razem, jak na ironię, są to sekrety kogoś innego.

Rick odkłada list i pochyła się do przodu, ściskając palcami nasadę nosa. Wzdycha ciężko, aż wreszcie patrzy mi w oczy.

– Wiedziała pani?

Potrząsam głową.

Poprawia się na krześle, próbując się uspokoić, ale dostrzegam skrzepowanie wyzieraające zza tej nieprzekonującej fasady.

– W takim razie... jak pewnie pani wie, większość jego majątku jest powiązana z firmą, ale i tak dostanie się pani spory spadek.

Udając irytację, rzucam ostro:

– To nie pieniądze są dla mnie ważne.

– Oczywiście. Najmocniej przepraszam. Nie miałem zamiaru insynuować...

– Nic się nie stało. Po prostu trochę mnie to wszystko przytłacza, więc jeśli już skończyliśmy...

– Tak. – Wstaje i wychodzi zza biurka. Podaje mi rękę, a ja ujmuję ją i podnoszę się z miejsca.

– Dziękuję.

Rick wyprowadza mnie z biura, a gdy wchodzę do windy, wyciąga przed siebie rękę, żeby powstrzymać drzwi przed zamknięciem, i mówi:

– Przykro mi, że musiała się pani dowiedzieć w ten sposób.

– Cóż, nikt nie jest doskonały, prawda?

– Nie, chyba nie.

Opuszcza rękę, i zanim się zamykają, widzę, jak kiwa do mnie głową ze współczuciem, ale to przydałoby mi się tylko wtedy, gdyby obchodziło mnie tych dwoje ludzi, którzy mnie zdradzali – a ja mam ich w nosie. Jego syn może sobie zatrzymać aktywa biznesowe, bo prawdę mówiąc wszystkie pieniądze są teraz zbrukane. Wezmę je i znajdę sposób, aby zacząć nowe życie, ale zawsze już będzie na nich krew Declana – krew mojego serca. Śmierć Bennetta nigdy nie była warta tego, aby Declan oddał za nią życie. Nic nie jest cenniejsze od mężczyzny, który posiadał na własność każdy skrawek mnie.

Minuty zmieniają się w godziny, godziny w dni.

Gdziekolwiek jestem, otacza mnie monotonna rutyna depresji, a ostry jak brzytwa ból krwawiącego serca przypomina mi, jak bardzo tęsknię za Declanem. Czasem zdaje mi się, że jeśli będę płakać dostatecznie mocno, wróci do mnie. Jakby życie było takie hojne.

Ale nie.

Życie jest do dupy.

Dało mi jeden, jedyny raz posmakować szczęścia, po czym wydarło mi je z rąk. W chwili, gdy postanowiłam uwierzyć w dobroć i nadzieję, odebrano mi je, przypominając boleśnie, że jestem całkiem sama na świecie. Ale ten jeden raz chciałam uwierzyć. Chciałam odnaleźć dobro ukryte głęboko wewnątrz mnie, choćby niewielki okruch, który mogłabym ofiarować Declanowi.

Przywdziewam czarną jak atrament żałobę, aby opłakiwać moich ukochanych, ale to nie ich będą dziś grzebać, tylko *jego*. Nie będę nawet musiała udawać przed rodziną i przyjaciółmi, bo moje serce naprawdę przepełnione jest bólem, tyle że jego przyczyną są Declan i Pike, a nie Bennett, na którego pogrzeb właśnie się wybieram.

Unikałam wszelkich wiadomości na temat Declana i Pike'a; ich pogrzeby z pewnością już się odbyły, ale głupotą byłoby się na nich pokazać. Nie może mnie nic z nimi łączyć, jeśli nie chcę, aby padł na mnie cień podejrzewania. Bądź co bądź, to ja jestem nicią, która jak pajęczyna splata całą tę grę w jedno.

Rozprowadzając ciemnoczerwoną szminkę po wargach wspominam, jak ciepły był na nich dotyk Declana. Prześiały jego słodyczą na zawsze. Czasem nie byłam w stanie zapanować nad swoją miłością do niego, tak bardzo go pragnęłam.

Odsuwam się, aby spojrzeć na to, co ze mnie zostało. Pofalowane, rude włosy opadają na wychudłe ramiona, a oczy są podkrążone i zapadnięte od pożerającego mnie smutku, ale zakrapiam je, więc ich błękit lśni jasno, przypominając mi oczy tatusia, które lśniły najjaśniej ze wszystkich. Zewsząd otacza mnie strata; całe moje życie zawsze było jedną wielką stratą. Wyglądzam dłońmi luźną, czarną sukienkę, gotowa na pogrzeb męża; tę stratę akurat witam z otwartymi ramionami. Śmierć Bennetta to jedno z moich nielicznych zwycięstw, choć nosi posmak goryczy.

Dzień jest szary i zimny. Mgła opada na chłodną ziemię, gdy jadę przez miasto na cmentarz, gdzie znajdują się działki rodziny Bennetta. Jadę sama – ja, czarna wdowa. Wszystko wokół jest czarne, w tym limuzyny i auta zaparkowane wzdłuż krętej ulicy, wijącej się po nieskalanym terenie miejsca ostatniego spoczynku mojego męża.

Zaparkowawszy samochód daję sobie chwilę, aby złapać oddech; nagle zauważam Baldwina idącego w moją stronę z wielkim parasolem nad głową. Nie widziałam go, odkąd zwolniłam go w zeszłym tygodniu. Bennetta już nie ma i nadszedł czas, aby pozbyć się wszelkich pozostałości po nim, wliczając w to pracowników. Zawsze lubiłam Baldwina, podobnie jak Clare, ale gdy już zwolniłam jego, pożegnałam się także i z nią. Oboje zrozumieli, kiedy wytłumaczyłam im moją decyzję. Z Clarą najtrudniej było mi się rozstać, bo jakaś niewielka część mnie zawsze postrzegала ją jako zastępczą matkę, mimo że nigdy nie łączyły nas takie relacje.

– Pani Vanderwal – wita mnie Baldwin, otwierając drzwi i biorąc mnie za rękę, aby pomóc mi wyjść z samochodu.

– Dziękuję – mamrocze, skrywając oczy za parą ciemnych okularów.

Jego spojrzenie jest łagodne, pełne troski, i widzę, że chce coś powiedzieć, więc posyłam mu pełen smutku uśmiech, a on odpowiada skinieniem, łącząc się w bólu – tyle, że mój jest fałszywy.

Zakładam mu dłoń za ramię, gdy prowadzi mnie do miejsca, gdzie ustawiono trumnę Bennetta, obsypaną wonnymi kwiatami i otoczoną pogrążonymi w smutku bliskimi. Dołączam do nich, czując, jak łzy spływają mi po twarzy i powoli skapują z brody. Ten dupek, którego oni oplakują, budzi we mnie tylko nienawiść, a tych łez nie ronię dla niego, lecz *przez* niego.

Kiedy idę zająć ostatnie wolne krzesło, tuż obok matki Bennetta, podnoszę wzrok i napotykam spojrzenie Jacqueline. Mam ochotę uśmiechnąć się do tej żalosnej kobiety, ale nie robię tego, a ona szybko odwraca wzrok, czując się niezręcznie. Wie, że ja wiem. Prawnik zadzwonił do mnie niedawno, aby poinformować, że spotkał się z nią, żeby omówić testament Bennetta oraz kwestię funduszu założonego dla ich nieślubnego dziecka.

Siadam.

Czas płynie.

Rozbrzmiewają kolejne ulotne słowa o nadziei, chwale i boskiej opatrności.

Kapłan mówi, że życie to dar.

Gówno prawda.

Czas płynie nadal i odgłosy deszczu stopniowo cichną, podobnie jak szlochy zebranych. Wielu podchodzi złożyć mi kondolencje, a ja płaczę i udaję, że słowa, które tutaj wypowiedziano były naprawdę przeznaczone dla Declana i Pike'a. Siedzę i myślę o nich, próbując uczcić dzisiaj ich pamięć, a nie *jego*. Dlatego kiwam głową i cicho dziękuję

każdej kolejnej osobie, a one jedna po drugiej odwracają się i odchodzą. Cmentarz powoli się wyludnia.

Podchodzą do mnie Richard i Jacqueline. Richard, bardzo nietypowo dla siebie, przytula mnie – co prawda jest to krótki, nerwowy uścisk. Przenoszę wzrok na jego niewierną żonę, która przechyla głowę w niewypowiedzianym smutku, a następnie rozkłada zapraszająco ramiona. Przyjmuję ten gest, aby zachować pozory.

– Tak strasznie mi przykro – szepcze.

Odsuwam się, nie chcąc przeciągać naszego kontaktu.

– Dziękuję, że tu jesteś.

– Zadzwoń, jeśli będziesz czegoś potrzebować – mówi, z pewnością raczej dla zachowania pozorów przed mężem niż ze szczerej troski o mnie.

Przytakuje, a Jacqueline, nic już nie mówiąc, odchodzi z Richardem.

Gdy na cmentarzu pozostaje już tylko garstka żałobników, dostrzegam wśród nich Calluma, ojca Declana. Na jego widok staje mi serce. Celowo izolowałam się od wszystkiego, co jest związane z Declanem, bo nie jestem w stanie znieść tego bólu, ale gdy moje oczy napotykają spojrzenie Cala, wstaję i ruszam w jego stronę.

Na jego twarzy nie widać ani śladu sympatii, jaką zwykle mi okazywał, tylko kamienne oblicze człowieka, który dopiero co stracił syna.

– Cal – szepczę, dołączając do niego. Nie odpowiada. – Nie spodziewałam się ciebie tutaj.

– Wiesz dobrze, że zawsze podziwiałem twojego męża.

Przytakuje, niemal dławiąc się okruciami własnego złamanego serca, kiedy odpowiadam łamiącym się głosem:

– Twój syn... tak mi przykro.

Staram się w miarę możliwości być opanowana, jak można by się spodziewać po współpracownicy w interesach, bo z punktu widzenia Cala tym byłam dla Declana. On nie ma pojęcia, że mocno się kochaliśmy, pragnęliśmy dzielić ze sobą życie i marzyliśmy o dziecku – dziecku, które rozwijało się w mojej gnijącej teraz macicy.

– Los nie jest sprawiedliwy, skarbie – mówi z mocnym szkockim akcentem, tak podobnym do akcentu jego syna. Spuszczam głowę i ze wszystkich sił uczepiam się tego głosu, aż nagle Cal kładzie mi dłoń na policzku. Spoglądam mu w oczy; jego twarz rozmywa się za ścianą łez. Powoli przeciąga kciuk po mojej skórze, ocierając słone krople, po czym przechyla głowę i mówi:

– Czy to nie ciekawe?

Mrugam kilka razy, zdziwiona jego słowami, a on ciągnie:

– Obaj mężczyźni... zamordowani we własnych domach w odstępie kilku dni, a policja nie jest w stanie wskazać sprawcy.

Na te słowa po plecach przebiega mi zimny dreszcz. Zanim zdążę pozbierać myśli, Cal całuje mnie w czoło i odchodzi. Odprowadzam go wzrokiem, gdy idzie w deszczu, a potem upadam na kolana w kałużę błota. Na cmentarzu nie ma już nikogo. Moje ręce zapadają się w wilgotną ziemię, gdy wspieram się na nich i krzyczę – bezgłośnie, jednak w głowie rozbrzmiewa mi przeraźliwy wrzask.



Rozdział trzeci

Minęły dwa tygodnie od pogrzebu Bennetta; dwa tygodnie, odkąd spójrzałam w oczy ojcu mojego ukochanego. Zostałam sama i czuję, że tonę. Nie mam już nikogo na tym świecie, a jakkolwiek namiastkę spokoju znajduję jedynie w snach – dlatego śpię. Dawniej zawsze śnił mi się Carnegie, królewicz zaklęty w gąsienicę, o którym ojciec opowiadał mi, kiedy byłam mała. Jednak ostatnio, ilekroć zamknę oczy, widzę Declana. Śni mi się życie, które mogliśmy wieść: mieszkamy w szkockiej posiadłości, o której tyle mi opowiadał, mamy dziecko, kochamy się nawzajem. Dzięki tej wizji ogarnia mnie przyjemne ciepło, ale gdy tylko otwieram oczy, wita mnie zimna, brutalna rzeczywistość, przypominając mi, że bajki to zasrane kłamstwa.

Wyciągam z szafy kolejną walizkę i wracam do pakowania ubrań. Nie mogę zostać w Chicago. To nie jest moje życie – nie chcę go, a to, czego chcę, już nie istnieje. Było tylko kolejną spadającą gwiazdą, która nie spełniła mojego życzenia. Pragnę tego, co widzę w snach, dlatego wczoraj postanowiłam, że pojadę zobaczyć chociaż ich skrawek – ślad tego, co mogło, co *powinno było* się wydarzyć. Miejsce ze snu to jedyne, co mi po nim pozostało, i chcę je zobaczyć na własne oczy; *muszę* je zobaczyć, żeby się przekonać, że naprawdę istnieje. Dlatego wyjeżdżam do Szkocji. Nie wiem, co dokładnie zamierzam zrobić, ale nie mogę tutaj zostać ani chwili dłużej.

Krzętałem się po penthousie, gdy dzwoni telefon.

– Pani Vanderwal? – słyszę w słuchawce głos Manuela. – Pani Jacqueline Brooks przyszła z wizytą. Mam ją wpuścić?

– Och – mamroczę. Nie spodziewałam się dzisiaj żadnych odwiedzin. – Eee, tak, proszę.

Odkładałam słuchawkę, zastanawiając się, czego ona ode mnie chce. W zasadzie nie rozmawialiśmy ze sobą, odkąd zostało ujawnione ojcostwo jej syna, ale też co miałybyśmy sobie powiedzieć? I tak nigdy nie była moją przyjaciółką; przez wzgląd na Bennetta udawałam, że ją lubię. Słyszę pukanie, więc otwieram drzwi i stoję twarzą w twarz z Jacqueline trzymającą w ramionach Alexandra.

– Proszę wejść, Jacqueline.

Starając się nie patrzeć mi w oczy, przekracza próg i wolnym krokiem wchodzi do pokoju, po czym przystaje i odwraca się ku mnie. Stoimy tak obie przez chwilę; patrzę, jak do oczu napływają jej łzy.

– Tak mi przykro – mówi drżącym głosem, a ja przenoszę wzrok na dziecko. Kiedy chłopczyk zaczyna się wiercić w jej ramionach, sadza go na podłodze, a on skupia uwagę na pluszowej żabie, którą trzyma w rączkach.

Podchodzę bliżej, klękam i patrzę mu w oczy. Przez chwilę przyglądam się jego twarzy; pod pulchną buzią dziecka dostrzegam rysy Bennetta. Nigdy wcześniej nie czułam potrzeby, żeby mu się przyglądać, a powinnam była, bo podobieństwo jest uderzające. Ten chłopczyk to wykapany Bennett. Mój żołądek zawiązuje się w supeł i zgrzytam zębami, czując, jak krew gotuje mi się w żyłach z nieodpartej chęci wymierzenia ciosu w twarz malucha. Dłonie aż mnie świerzbią, jakby błagały, żebym złożyła je w pięści i z całej siły wbiła kłykiec w dziedzica Bennetta. Nienawidzę tego dziecka, bo jest potomkiem mężczyzny, który zniszczył moje życie.

Alexander z uśmiechem unosi rączkę i dotyka mojego policzka, a ja z trudem przetykam nienawiść oraz żółć zbierającą mi się w gardle. Z wielkim wysiłkiem udaje mi się odsunąć i nie cisnąć tym małym gnojkiem na drugi koniec pokoju.

Kiedy wstaję, Jacqueline szepcze ze wstydem:

– Nina... przepraszam.

– Za co? – pytam wypranym z emocji głosem.

– Za to, że sprawiłam ci ból.

Wcale tego nie zrobiła, więc odpowiadam tylko:

– Wszyscy mają swoje tajemnice, wszyscy kłamią i oszukują w pogoni za marzeniami. Gdyby faktycznie było nam przykro, nie robilibyśmy tego; ale robimy, bo jako ludzie mamy prawo dążyć do szczęścia.

Moje słowa są dla niej zaskoczeniem.

– Byłaś szczęśliwa, pieprząc się z moim mężem? – pytam. Jacqueline bierze głęboki oddech, a z oczu płyną jej łzy, gdy odpowiada:

– Tak.

Kiwam głową, a ona dodaje:

– Ale nie byłam szczęśliwa wiedząc, że cię skrzywdziłam.

– Szukając szczęścia, krzywdzimy innych. Tak już jest. Jeśli pieprzenie się z moim mężem cię uszczęśliwiło, nie masz czego żałować.

Przekrzywia głowę, patrząc na mnie ze współczuciem.

– Nie martw się o mnie – ciągnę. – Nie zniszczyłaś mi życia. Nie da się zniszczyć czegoś, co już dawno legło w gruzach.

– On wcale mnie nie kochał – wyznaje gwałtownie. – Nigdy mnie nie chciał. Wykorzystałam go, kiedy za dużo wypił. Wiedziałam, że po tym, co się stało, robiło mu się niedobrze na mój widok, ale nie okazywał tego przez wzgląd na Alexa. Znosił mnie wyłącznie dlatego, że nie zamierzał odwracać się od swojego syna.

Stoję i słucham, jak Jacqueline z każdym słowem staje się coraz bardziej zdenerwowana. Głos łamie jej się z bólu, gdy dodaje:

– Ale on zawsze kochał tylko ciebie.

Wzdychając głęboko, posyłam jej blady uśmiech, kręcę głową i mówię:

– W sumie to wszystko bez znaczenia. Teraz obie zostałyśmy same.

Ociera łzy z policzków i bierze kilka głębokich oddechów, starając się uspokoić, po czym podnosi Alexandra z podłogi i pyta:

– I co teraz?

– Dobre pytanie. Sama szukam na nie odpowiedzi, ale tutaj jej nie znajdę.

– Wyjeżdżasz?

– Tak. – Przytakuję.

– Dokąd? Na jak długo?

– Nie wiem – kłamię, bo nie chcę, żeby wiedziała. Po raz ostatni obrzucam spojrzeniem jej syna, a potem z powrotem zwracam się do niej. – Nie tylko ty masz tajemnice. Wszyscy je mają.

Odpowiada lekkim skinieniem głowy i rusza w stronę drzwi. Idę za nią i żegnam się z tą kobietą, która ślepym trafem wplątała się w sieć moich kłamstw. Ale ona wróci do męża, Richarda, który myśli, że jest ojcem jej dziecka, i będzie dalej żyć swoim życiem, podczas gdy ja wyruszam zobaczyć to, co kiedyś mogło stać się moim. Gdyby tylko...

– *Tak mi przykro, Elizabeth.*

Serce staje mi w piersi, gdy słyszę jego głos, a kiedy zamykam drzwi i oglądam się przez ramię, dostrzegam jego twarz i nagle ogarnia mnie spokój. Stoi tuż obok; wyraźnie widzę jego ciemne włosy i smutne oczy.

– Dlaczego?

Pike zwiesza głowę, wpychając dłonie w kieszenie spodni, i widzę, jak napięte są mięśnie jego wytatuowanych ramion.

– *Odebrałem ci to.* – Podnosi na mnie wzrok.

– Co takiego?

– *To, co ma ona. To, na co zasłużyłaś.*

– Być może wyświadczyłeś mi przysługę – odpowiadam.

– I tak byłaby ze mnie główniana matka.

Protestuje, potrząsając głową.

– *Nie. Byłabyś świetną matką.* – Pike oddycha nierówno, a w każdym jego słowie wyczuwam żal. – *Przepraszam, że cię tego pozbawiłem.*

Tak naprawdę nie wiem, jak sprawdziłabym się jako mama, ale z Declanem u boku byłam gotowa podjąć się tej roli. Ufałam, że z jego wsparciem dam sobie radę, że jego miłość wystarczy, aby mnie uleczyć, ale uzdrowienie nie nadeszło, a bez niego jestem niczym.

Wypełnia mnie pustka.

– Takie jest życie. – Z rezygnacją wzruszam ramionami.

– *Nie tego chciałem dla ciebie* – odpowiada, podchodząc bliżej. – *Jedyne, czego kiedykolwiek pragnąłem, to ofiarować ci lepsze życie. Zerwać zamek z drzwi i wyrwać cię z tamtej cholernej szafy. Usunąć wspomnienie wszystkich chwil, kiedy byłem zmuszany, aby cię gwałcić, chwil, kiedy byłaś bita. Usunąć cały twój ból, ale spieprzyłem sprawę.*

Od niego nie muszę się odgradzać stalową klatką, więc pozwalałam łzom płynąć. Płaczę, bo właśnie tego zawsze chciałam... żeby całe moje życie zniknęło. Chciałam zapomnieć o wszystkich tych okropnościach.

– *Nigdy nie zamierzałem tak cię skrzywdzić.*

– Wiem.

– *Spanikowałem. Ze strachu kompletnie mi odbiło* – próbuje wyjaśnić, z trudem wydobywając głos ze ściśniętego gardła.

– Tak mi cię brakuje, Pike. Sama już nie wiem, jak dalej żyć. Nie mam nikogo. Zostałam całkiem sama na świecie.

– Z płaczem osuwam się na kolana, ale on klęka tuż przy mnie i kładzie mi dłoń na plecach, gdy z trudem łapiąc powietrze szlocham: – Co mam robić?

– Życ.

– Jak?

– *Oddychaj. Walcz. Bierz wszystko, co ci się należy od życia.*

– Jestem już zmęczona ciągłą walką o nic – odpowiadam. Ociera dłońmi łzy z mojej twarzy.

– *Nie zostałaś sama. Jestem tutaj. Czujesz?*

– Tak.

– *Nie walczysz na darmo. Nigdy nie przestawaj.*

Zamykam oczy i odprężam się; naprawdę czuję dotyk jego dłoni na policzku. Biorę głęboki oddech, wraz z nim chłonąc słowa Pike'a. Szukam w nich pocieszenia i choć odrobiny siły, aby ruszyć się z miejsca, otworzyć oczy... a gdy to robię, jego już nie ma.

Rozglądając się po pokoju, nie znajduję ani śladu Pike'a – żadnego ruchu, zapachu, dźwięku. Kiedy kucam na piętach, spoglądając na penthouse, ten fałszywy świat, który stworzyłam, dobiega mnie cichy szept:

– *Ty to wszystko stworzyłaś i byłaś dość silna, aby sprawować nad tym władzę.*

To prawda.

Byłam silna.

Ale wtedy miałam o co walczyć. Teraz ten ogień się wypalił, pozostawiając tylko popiół i zgliszcza. Echo i cienie. Mrok i śmierć.

Jednak Pike ma rację; muszę iść naprzód. Jeśli mam przetrwać, muszę pamiętać, że w życiu są też dobre chwile. Nawet jeśli zdarzają się rzadko i trwają zaledwie moment, muszę wierzyć, że ból jest ich wart. Doświadczyłam przecież takich chwil i byłabym gotowa przeżyć jeszcze raz całą tę mękę tylko po to, aby jeszcze przez sekundę poczuć miłość Declana. Nigdy nie sądziłam, że świat może być tak piękny, ale był.

Przez jedną chwilę...

Było cudownie.

Podnoszę się z podłogi, a gdy już odzyskuję równowagę, sięgam po płaszcz i klucze. Do tej pory unikałam konfrontacji z faktem, że Declana już nie ma, ale nie mogę tak w nieskończoność. Muszę przypomnieć sobie, że to, co nas połączyło było prawdziwe i warte bólu, który teraz czuję.

Wjeżdżam na Michigan Avenue i kieruję się na północ. Miasto wokół mnie tętni życiem, ale ignoruję jego pulsującą energię i uśmiechniętych ludzi, zmierzając prosto do River North. Skręcając w ulicę Superior, zwalniam. Nagle robi mi się zimno i mocniej zaciskam wilgotne ręce na kierownicy. Z nerwów przewraca mi się w żołądku, gdy prowadzę auto wzdłuż krawężnika, aż pod budynek Declana.

Gaszę silnik i przez moment siedzę w ciszy. Jedyne, co słyszę, to bicie serca kołatającego mi się w piersi. Na szczycie tego budynku znajdowałam ukojenie, swój kawałek raj. Gdy wysiadam z samochodu i podnoszę wzrok, widzę rośliny na tarasie jego mieszkania, ale wiem, że to jedyne żywe istoty, które wciąż je zamieszkują. Nazwisko Declana zniknęło z domofonu w lobby, zastąpione numerem pośrednika zajmującego się sprzedażą jego penthouse'u.

Chłodny dotyk stali pod palcami sprawia, że czuję się jeszcze bardziej pusta w środku i budzi się we mnie masochistyczne pragnienie, aby przycisnąć guzik.

Więc to robię.

Wciskam przycisk domofonu, wiedząc, że tym razem z głośnika nie dobiegnie jego słodki głos. Zamiast tego odzywa się mój telefon.

Wyciągam komórkę i patrzę na wyświetlacz, ale nie rozpoznaję numeru. Robiąc kilka kroków w stronę samochodu, odbieram.

– Halo?

– Tęskniłaś?

Myślni wciąż jestem przy Declanie i dopiero po chwili rozpoznaję głos w słuchawce, a wtedy zalewa mnie fala paniki. Szybko opanowuję emocje i odpowiadam spokojnie:

– Czego chcesz, Matt?

– Musimy pogadać.

– Na jaki temat?

– Naprawdę muszę ci mówić? – szydzi. Nie, nie musi. Doskonale pamiętam, że mijałam jego samochód po tym, jak zastrzeliłam Pike’a. Rozumiemy się bez słów; oboje wiemy, co zrobiłam.

– Kiedy?

– Jutro.

– Nie dam rady. – Wsiadam do samochodu i zamykam za sobą drzwi.

– Masz coś lepszego do roboty?

– Nie twój interes, ale owszem. Wyjeżdżam z miasta, więc jeśli chcesz porozmawiać, musimy to załatwić dzisiaj – odparowuję z irytacją. Moje relacje z Mattem zawsze były napięte. Znosiłam go, bo przyjaźnił się z Pikiem, ale zawsze czułam się przy nim nieswojo. Mimo to jakaś część mnie czuje do niego wdzięczność, bo to on podarował mi jeden z najwspanialszych prezentów, jakie dostałam, i zrobił to ze szczerego serca.

Prawdopodobnie był to jedyny raz, kiedy zrobił coś bezinteresownie.

To właśnie Matt pozwolił mi po raz pierwszy posmakować zemsty, umożliwiając zamordowanie zastępczych rodziców, przez których tyle wycierpiałam. Dlatego bez względu na to, jak bardzo go nie znoszę, po części jestem też mu wdzięczna.

– Za pół godziny pod Tribune Tower? – proponuje.

– Dobra.

Rozłączam się i rzucam telefon na siedzenie pasażera. Po tej rozmowie jeszcze bardziej spieszy mi się, aby wyjechać, uciec z tego miasta i od wszystkiego, co znam.

Wracam na Michigan Avenue i niedługo potem parkuję nieopodal Tribune Tower. Przeciskając się przez tłum, docieram na drugą stronę ulicy, aby tam zaczekać na Matta.

Moją uwagę przykuwa uliczny artysta, grający stary, znany kawałek Otisa Rusha na saksofonie. Patrzę na ludzi, którzy mijają go, wrzucając monety i banknoty do leżącego na ziemi otwartego futerału na saksofon, i zatracam się w melodii. Przyglądam się mężczyźnie z zastanowieniem. Jest stary i siwy, ma na sobie podarte, znoszone ubrania, jego ciemna skóra jest pokryta zmarszczkami, a palce, choć blade i wysuszone, z gracją tańczą po instrumencie. Patrząc na niego można by się spodziewać, że jest samotny i nieszczęśliwy, jednak przeczy temu radość, z jaką porusza głową w rytm muzyki. Jak komuś, kto nic nie ma, udaje się znaleźć szczęście? Już chcę go o to zapytać, ale potrącona przez kogoś chwiję się i nagle ląduję w ramionach Matta. Łapie mnie od tyłu i odwraca twarzą do siebie, potem kładzie mi dłoń na plecach, a drugą bierze mnie za rękę, prowadząc w powolnym tańcu do rozbrzmiewającej muzyki.

Jego cwany uśmieszek działa mi na nerwy. Wiem, jaką przyjemność sprawia mu moja bliskość. Gdyby nie otaczający nas tłum, odepchnęłabym go, ale ostatnie, czego potrzebuję, to zrobić z siebie widowisko, więc spuszczam wzrok i pozwalam mu prowadzić mnie.

– Nie rób takiej nieszczęśliwej miny, Elizabeth. Ludzie patrzą.

Zaciskając zęby, zdobywam się na słaby uśmiech i unoszę głowę, żeby spojrzeć mu w oczy. Jego rozszerzone źrenice są wielkie jak spodki, ale to nic nowego. Ćpał już, kiedy byłam w pierwszej klasie liceum. Nie mam pojęcia, jakim cudem jeszcze nie przedawkował.

Przyciąga mnie bliżej, aż stykamy się policzkami, i pyta:

– Tęsknisz za nim?

Tak.

Nie odpowiadam, skupiona na tym, aby nie stracić nad sobą panowania, ale w środku czuję otwierające się na nowo rany.

Obejmuje mnie mocniej, tak że jeszcze bardziej zbliżamy się do siebie, tańcząc na pełnym ludzi chodniku przed Tribune Tower.

– Jeśli się martwisz, to wiedz, że nie ma czym – ciągnie łagodnie. – Zająłem się wszystkim.

Nie rozumiem, co ma na myśli. Kiedy odsuwam głowę, żeby na niego spojrzeć, dodaje:

– Załatwiłem, żeby to wyglądało na transakcję, która poszła nie tak. Gliny mnie przesłuchiwały, a ja potwierdziłem ich podejrzenia.

– Dlaczego? – pytam, zastanawiając się, po co miałyby mnie kryć.

– Żeby zapewnić sobie twoją lojalność.

Czerwienię się ze złości, gdy zdaję sobie sprawę, że ta żalсна gnida zdołała tak mnie podejść i schwytać w swoje sidła.

– Czego chcesz?

– Nie jestem jeszcze gotowy spieniężyć mojej inwestycji – odpowiada z szerokim uśmiechem, który mam ochotę zmasać z jego twarzy pięścią.

– Ty popaprańcu – wyrzucam z siebie. – Wykorzystujesz Pike’a jak towar na sprzedaż.

– I kto to mówi? Przez lata patrzyłem, jak ty go wykorzystujesz.

– Nic nie wiesz o tym, co było między nami – odpieram zarzut.

– Wiem, że cię kochał i poświęcił dla ciebie wszystko.

– A teraz ty szczasz na nas oboje.

– Powinnaś mi dziękować, że ratuję twój tyłek przed pójściem za kratki – odparowuje, po czym dodaje drwiącym tonem: – Który to Pike był, tak w ogóle? Trzeci? Czwarty?

– Pierdol się. On był moim bratem.

Przy wtórze dźwięków saksofonu Matt ściska mnie mocniej, po czym pochyla się i syczy cicho z wściekłością:

– Nie. To ty się pierdol, Elizabeth. Był moim najlepszym kumplem, a ty go zabiłaś. Nie mam nawet pieprzonego pojęcia dlaczego, bo Pike dawał ci wszystko, czego chciałaś.

Podciąga mnie z powrotem w górę, a ja mam wrażenie, że zaraz wybuchnę z nienawiści do tego dupka, który gównowicie wie o tym, jak naprawdę było między mną a moim bratem. Nie ma pojęcia, co musieliśmy znieść i jak to na nas wpłynęło.

Matt całuje moją dłoń, a ja uświadamiam sobie, że muzyka ucichła.

– Nie odchodź za daleko, koteczku. Pamiętaj, gdzie jest twoje miejsce. Dam ci znać, jak już będę gotowy odebrać to, co jesteś mi winna – kpi, po czym odwraca się do mnie plecami i odchodzi.

Patrzę, jak znika w tłumie, dziękując w duchu, że nie ma pojęcia o moim planowanym wylocie do Szkocji. Jeśli sądzi, że może ze mnie zrobić swojego pionka, to nie będę wyprowadzać go z błędu, bo duma jest jak uszkodzony kabel, który w końcu wywoła zwarcie.